Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 9.** **Leszno, dnia 27. Sierpnia 1836.**



Szczątki zamku Tenczyna.

„To siedlisko odwieczne wsławionéj rodziny,
„Gród, którego tu widzisz smutne obaliny,
„Wieże wzbite ku niebu, okazałe progi,
„Osiadły dziś puszczyki, i zarosły głogi;
„A rodak sławnych gnachów oglądając szczęty,
„Depce gruzy Tenczyna, ciężkim smutkiem zdjęty."

Z licznych zamków i gmachów starożytnych, co niegdyś zdobiły okolice Krakowa, jedne spożyte siłą czasu, śladu nawet po sobie nie zostawiły, inne już tylko stósy gruzów zasmuconemu przedstawiają oku. Do liczby tych ostatnich należy Tenczyn, niegdyś siedlisko sławnéj w dziejach narodu polskiego rodziny Tenczyńskich.

Na skalistéj wśród lasów górze, gdzie jeszcze widać szczątki wież i murów porosłych drzewami, był wielki i wspaniały zamek, zbudowany roku 1319 przez Nawoja z Przegini, herbu Topor, kasztelana Krakowskiego, którego syn Jędrzéj, wojewoda Krak., przybrał późniéj nazwisko Tenczyńskiego. Przeszło 3 wieki dostarczało to miéjsce krajowi mężów wsławionych miłością nauk, dzielnością w boju i zdrową radą u steru rządu, a ostatni ich potomek, Kazimierz Tenczyński, młodzieniec pełen nadziei, w wiosnie życia, zginął na polowaniu od srogiego dzika.

Zamek Tenczyn, z mocnéj swéj posady, groźną był w dawnych czasach twierdzą. Plan jego w dziele Puffendorfa, w ówczas, kiedy już należał do Hr. z Tenczyna Ossolińskiego, marszałka nadwornego, okazuje tylko jeden przystęp od południa, zasłoniony murem i wysoką wieżą; przy wejściu zaś na dziedziniec, była druga okrągła i obszerna wieża.

W roku 1655 długo bezskutecznie oblegali go Szwedzi, i dopiero po nastąpionych układach, oblężeni dobrowolnie się poddali. Dowódzca Szwedów, Königsmarkt (syn), wszedłszy do zamku,

złamał warunki traktatu, i wiele ludzi tam będących pozabijać kazał, nieprzepuszczając nawet bezbronnym niewiastom. Nieuszła mu jednak ta zdrada bezkarnie, gdyż wkrótce potém, uciekając przed ścigającymi go Polakami, na przeprawie przez Wisłę, pod Kwidzynem utonął.

Od tego czasu zamek Tenczyn zrujnowany, zaczął pustoszeć, a przypadkowy później ogień dokończył zupełnego jego zniszczenia.

Ale jak świetne Ateny wśród Greków,
Znikły przez dzikich przychodniów napady,
Lecz słynąć będą, jak słyną od wieków,
Gdyż w nich siedlisko miały Milcyady, —
Tak pyszny grodzie, choć leżysz w ruinie,
Chociaż cię niszczą i wichry i słoty,
Pamięć twa w sercach krajowców nie zginie,
Boś był schronieniem i męztwa i cnoty.

Dość długo utrzymywała się w tym zamku kaplica, w któréj grobie złożone były zwłoki ostatniego potomka rodu Tenczyńskich, i dopiero w roku 1792 X. August Czartoryski, wojew. ruski, prochy jego przenieść kazał do pobliskiego kościoła w wiosce Tenczynku. Z góry, dźwigającéj zwaliska Tenczyna, odkrywa się piękny i wspaniały widok na przyjemną dolinę, w któréj leżą wioski: Tenczynek, sławna kopalnia węgli kamiennych, i Krzeszowice, znane z kąpieli siarczanych.

Dzień żniwny.

(Dalszy ciąg.)

Proboszcz i pan.

I Proboszcz śpiesząc do żniwa,
Na mszą kazał wcześniéj dzwonić.
Kollator zaraz przybywa,
Aby czasu nic niestrwonić.
Msza wychodzi, — bez słuchaczy,
I nie ma kto służyć do niéj;
Sam więc Pan na Sanctus dzwoni,
I sam mszał przenosić raczy.
W polu już był organista:
A zatém ręce kobiece
Muszą pomódz gasić świece;
Więc gospodyni sążnista,
Pierwszy raz ich się dotyka,
A potém kościół zamyka. —
Kollator prosi ze sobą Plebana,
Ażeby raczył iśdź wypić z nim kawę.
Proboszcz przyjmuje wezwanie łaskawe;
Idą: a kawa czeka już nalana.
Piją więc smacznie. A kiedy skończyli,
Przynosi lokaj farfurki, widelce,
Noże, chleb, masło; i po małéj chwili,
Kiełbasę, kubek i wódkę w butelce.
Jedzą; aliści ochoczy Podstoli
Rzecze: Proboszczu! teraz po kiełbasie,
Téj hanyżówki oto napijma się;
I jednym łykiem kubek jéj wygoli.
Wypił i Proboszcz; a splunąwszy, mówi:
Taki hanyżek niekiedy uzdrowi.
Nie żal dać gęby; wódka wyśmienita!
Strawi kiełbasę, wygryzie robaka. —
Miła pochwała Panu była taka,
Ozwie się zatém: placent repetita:
Powtórzmy jeszcze. Powtórzyć niewadzi;
Prędzéj rozłupi, kto dwa kliny wsadzi.
Łykli więc znowu; i wszczęli rozmowę:
O polityce, o ciężkich podatkach,
O rozmaitych powiatowych składkach,
Któreby można zmniéjszyć o połowę.
A gdy dochodzą, kto temu jest winny,
Niemyśląc przeszli na mowy tok inny.
Zaczęli radzić:
Jak drzewa sadzić?
Jak gnieść wąsionki?
Jak spławiać łąki?
Jak osty gubić?
Jak kreta ubić?
Jak owce i konie chować?
Jak polepszać rogaciznę?
Jak psy leczyć na wściekliznę?
Jak utopionych ratować?
Jak zapobiegać bydlęcym defektom?
A wtém Pan rzecze: radziemy o wielu,
Lecz własne zdrowie trzeba mieć na celu;
Proboszczu! wszak omne trinum perfectum:
Pijmy dla zdrowia! i niebawnie nalał.
Proboszcz odkaszlnął, a zatém zezwalał.
Palnęli przeto w koléj kubek trzeci;
Palnęli mówię, aż oko zbielało;
A gdy też w flaszce wódki już niestało:
Postanowili zajrzeć do swych kmieci. —
Idą więc w pole, i po drodze radzą:
Po czemu korczyk pszenicy przedadzą?
Radzą i o tém: coby lepiéj było:
Czyby do Szląska wywozić powoli?
Czy też, żeby się do Gdańska spławiło?
Jeżeli handel wywozić dozwoli.
Tak rozmawiając, doszli Bożéjmęki,
Gdzie rozłączenie było umówione:
Więc się żegnają przez ściśnienie ręki;
A każdy potém udał się w swą stronę. —
Przybyli do swych żniwiarzy;
A parobcy, przodownicy,
Zwili powrósło z pszenicy,
I z wdzięcznym uśmiechem twarzy
Pod stopy im podłożyli;
Oni za to powiązanie,
Na gardzieli przepłukanie,
Złotówką się wykupili.
Potém stojąc na upale,
Kiedy im słońce dopieka,
Gdy dojrzewa, parzy wcale,
Każdy do cieni ucieka.
Proboszcz siadł między mendele,
I oparł głowę na dłoni;
A Pan się pod gruszkę chroni,
I snop słomy sobie ściele;
Siadłszy zaś na słomie owéj,

Wyciąga nogi jak długi;
A przyciągnąwszy snop drugi,
Podtyka sobie pod głowy.
Wtém hanyżówka skutkować zaczyna:
Obydwóch lekkie napada ziewanie;
Oczy się kleją, pobiera drzemanie;
Usnął Pan smacznie, usnął i księżyna.
Śpią sobie tedy, i donośnie sapią;
Z łysin się kurzy; pot wyszedł na czoła;
Muchy po twarzach roją się do koła;
Lecz choć ich kłują, oni jednak chrapią.
Przybliżyło się południe,
A oni jeszcze niewstali;
Ale choć obiad przespali,
Wyspali się za to cudnie.
(Koniec nastąpi.)

Ducornet, malarz bez rąk.

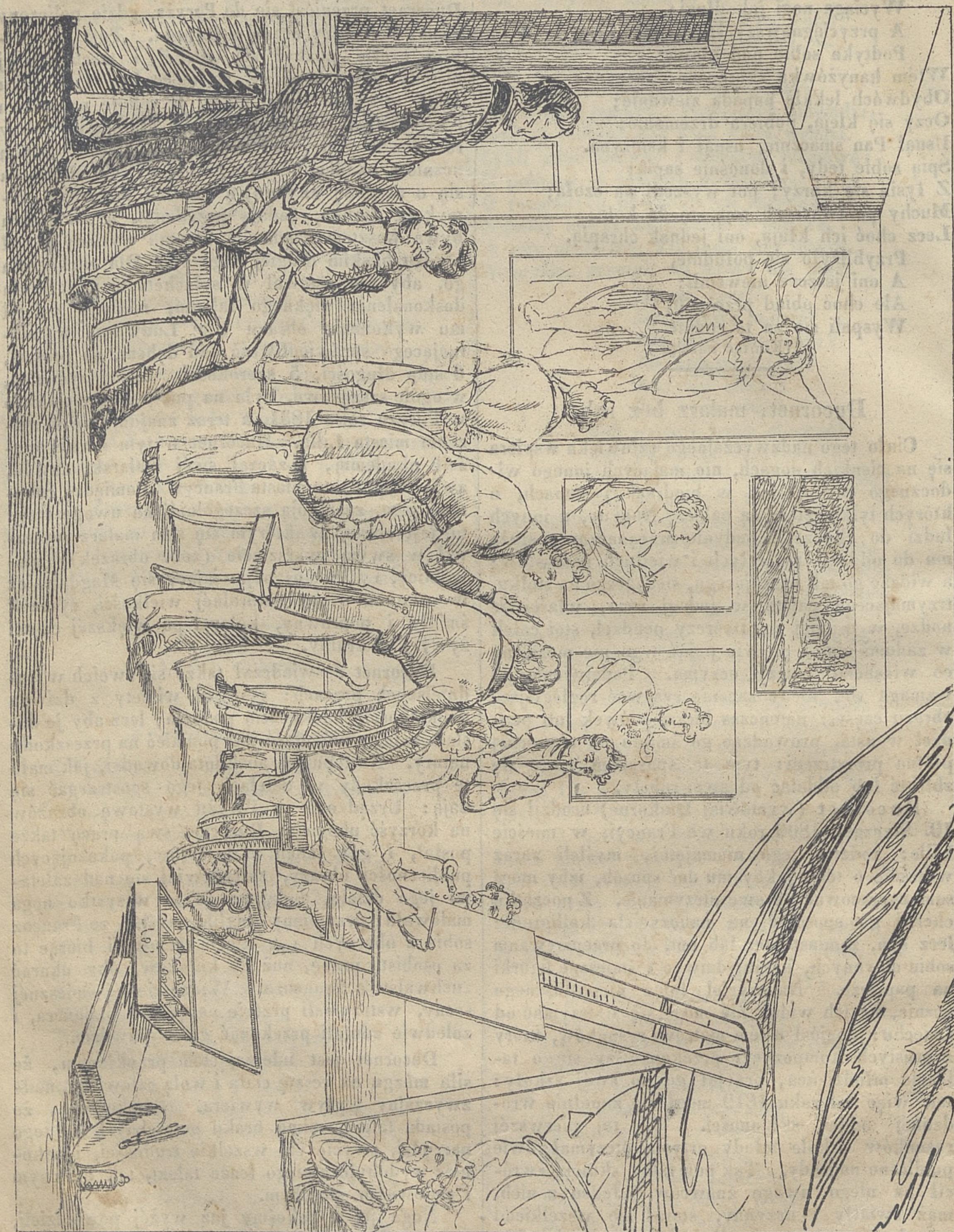
Ciało tego nadzwyczajnego człowieka wspiera się na cienkich nogach, nie mających innego widocznego ruchu, jak w biodrach i stopach, u których tylko cztery są palce. Nogi te, u innych ludzi do chodzenia jedynie przeznaczone, służą mu do oddania rozległych i wielkich pomysłów; a widząc go tak pracującego, siedzącego na stołku, trzymającego paletę w jednéj ręce, właściwie nodze, w drugiéj zaś twórczy pendzel, stoi człek w zadumieniu, i prawie pojąć tego nie może, na co własnemi patrzy oczyma. Podziwienie to wzmaga się, kiedy zacznie rysować rozleglejsze obrazu części: natenczas bierze ołówek lub pendzel w usta, prowadząc go śmiało po obszernéj płótna przestrzeni: tym to sposobem może się zbliżać lub oddalać od swéj roboty.

Ducornet (wymawiaj Diukorne) urodził się 10. Stycznia 1806 roku we Francyi, w mieście Lille: rodzice jego niemajętni, myśleli zaraz wcześnie o tém, jakby mu dać sposób, iżby mógł sam zapracować na swe utrzymanie. Z początku chcieli go sposobić na nauczyciela kalligrafii: lecz syn, zamiast liter lub nót, do przepisywania sobie dawanych, kreślił dziwne i śmieszne figurki na papierze. Nauczyciel łając nieposłusznego ucznia, na ich widok nie mógł się wstrzymać od śmiechu: doniósł o tém metrowi rysunków, który z prostych kompozycyi przekonawszy się o talencie młodzieńca, przyjął go do swéj szkoły: tak więc od roku 1819 mógł się zupełnie wrodzonéj oddać skłonności. W téj pierwszéj rysunków szkole młody artysta otrzymał dwie publiczne nagrody. Tak pomyślny skutek, zwrócił na niego uwagę znawców. Jeden z nich, mąż światły i uczynny, starał się wszelkiemi sposobami o wsparcie dla młodzieńca, obdarzonego tak świetnemi talentu darami, a upośledzonego od natury co do ciała. 300 franków, które miasto Lille wyznaczyło, nie starczyły na jego utrzymanie. Sławny malarz Girard, obaczywszy jego prace, wstawił się za nim do króla, i uzyskał 1200 franków pensyi. Od tego czasu Ducornet przeniósł się do Paryża, gdzie policzony został pomiędzy uczniów Girarda. Tutaj w krótkim czasie pozbył się suchéj i mechanicznéj metody pierwszych swych mistrzów, i w roku 1825 otrzymał trzeci medal w szkole malarstwa i snycerstwa. W następującym roku uzyskawszy również nagrodę, należał już do najcelniéjszych uczniów akademii. Przypuszczony do ubiegania się o nagrodę rzymską (takich malarzów zamykają osobno, zadają przedmiot, a zwycięzca bywa kosztem rządu do Rzymu wysłany), był bardzo bliskim drugiéj nagrody. Dla zachęcenia go, aby nie ustawał w szlachetném usiłowaniu doskonalenia pięknego talentu, minister polecił mu wykonanie obrazu Śgo Ludwika, wymierzającego sprawiedliwość pod dębem, na płótnie, 6 stóp długości, 5 szerokości. Kompozycya ta, w ogóle szczęśliwa, była na publicznéj wystawie w Paryżu roku 1831, a teraz znajduje się w muzeum miasta Lille. Ducornet w tym czasie opuścił akademią, i zaczął swój malarski zawód, zwiedzając różne miasta Francyi. Pomiędzy robotami jego, zasługują szczególniéj na uwagę trzy: to jest obraz, w którym się sam malarz wystawił w swym warsztacie (zob. obrazek); niewolnicy, i Chrystus objawiający się Magdalenie: w ostatnim osoby naturalnéj wielkości, rysunek śmiały i poprawny, koloryt po większéj części żywy i naturalny.

Ducornet doświadczał także sił swoich w trudniéjszych pracach: rysował winiety z dziwną delikatnością i lekkością pendzla; lecz aby je dostatecznie ocenić, dość jest pomnieć na przeszkody natury. Następująca anekdota dowodzi, jak mało te przeszkody w dziełach jego spostrzegać się dają: Urządzono w Paryżu wystawę obrazów na korzyść ubogich: Ducornet swą pracę także posłał, i gdy jeden z dozorców, pokazujących publiczności obrazy, zastanawiał się nad zaletami jego dzieła, dodając: że to wszystko noga malowała; przytomny Anglik, myśląc, że Francuz sobie z obecnych i z niego żartuje, i biorąc to za osobistą urazę, nuż do kułaków, aby ukarać zuchwalstwo Francuza. Widzowie téj śmiesznéj sceny, wstrzymali przecie popędliwego boxera, i zaledwie zdołali przekonać go o prawdzie.

Ducornet jest uderzającym przykładem, że siła mózgu na resztę ciała i wolą człowieka, nadzwyczajny wpływ wywiera. Przekonanie, że posiada talent, mimo braku potrzebnych do tego narzędzi, zwyciężyło wszelkie trudności, i nakoniec wydobyło z niego tenże talent, tak dziwnym i cudownym sposobem.

Noga jego, jakeśmy już wyżéj powiedzieli, cztery tylko ma palce, a uważając znaczny przedział między pierwszym a drugim, sądziłbyś, że mu właśnie drugiego brakuje. To urządzenie natury ułatwiając zgięcia członków, bardzo mu jest pomocne. Ducornet palców u nóg tak prawie jak u rąk używa i niemi włada. Z dziwną zręcznością przerzuca ołówek, pendzel, scyzoryk



Ducornet, malarz bez rąk.

lub co potrzeba, z jednéj nogi do drugiéj. Długiém ćwiczeniem takiéj już nabył wprawy, iż nią najdelikatniéjsze wykonywa kontury. W rozmowie, siedząc, nogami swęmi gestykuluje jak my rękami: tak dalece wewnętrznym poruszeniom ciała, towarzyszą zewnętrzne członków ruchy. Na twarzy wydaje się także ruch muszkułów nadzwyczajny. Czoło wysokie znamionuje niepospolite zdolności: oko żywe i pełne wyrazu, rysy przyjemne okazują wesoły humor i życzliwość; krótko mówiąc, im dłużéj kto z nim obcuje, tym więcéj odkrywa w nim



1. Templaryusz w ubiorze zwyczajnym. 2. Templaryusz na wojnie.

przymiotów, któremi umie życie swe uprzyjemnić.

Przezorna Opatrzność nie zostawiła go bez wszelkiéj pomocy, owszem dała mu w ojcu opiekuna i nieodstępnego stróża, bacznego na wszelkie jego potrzeby i skinienia. On go na swych nosi barkach, aby nogi ochronić od zmordowania chodzeniem. On go wsadza na rusztowanie, gdzie maluje i zsadza, ubiera; jedném słowem, uzupełnia go. Ducornet stracił pensyą roku 1832; płaconą mu regularnie przez rząd dawniejszy, a tak biegły artysta, siebie i swych rodziców z własnéj pracy nie już rąk, ale nóg swoich utrzymywać musi.

Zakony rycerskie.

Nic lepiéj nie maluje ducha wieków średnich, owych wieków namiętności i zapału, religii i wojny, poświęcenia się i dumy, żądzy zbawienia i światowéj chwały, nabożeństwa i dzikości, jako te potworne bractwa Mnichów Rycerzy, za czasu krucyat powstałe; którzy chcąc naśladować Zbawiciela wyrzeczeniem się osobistości i świata, poświęceniem się dobru ludzkości i wiary, obrali sobie cel życia wprost naukom jego przeciwny: wojnę i przelew krwi ludzkiéj; a zamiast najświętszych cnót kapłanów i apostołów prawdziwéj wiary: łagodności, miłości i przekonania, zaślepieni zbytnią żarliwością, przejęli, nie myśląc o tém, zasady nieprzyjaciół, z którymi walczyli, zasady Muzułmanów, którym prorok ich Mahomet, wieczną nienawiść różnowierców i wojnę, jako jedyne sposoby rozkrzewienia wiary swojéj zalecił.

Jak dalece jednak zakony te, w pierwszych czasach swego powstania, odpowiadały duchowi i wyobrażeniom spółczesnym, przekonywają najlepiéj ich nagły wzrost, potęga, wziętość i bogactwa, które w całém chrześciaństwie nabyli. Że zaś w czasie swego kwitnienia wpływały silnie, źle czy dobrze, na los wielu krajów i ludów; świadczą dzieje całéj Europy. Aż wreście ta sama potęga i bogactwa, przerodzone w swawolę, dumę i zbytek, zwłaszcza po ostatecznéj utracie ziemi Świętéj, czyniąc je koleją i narzędziem fanatyzmu, rozwalniając powoli zakonną surowość ich ustaw, oziębiając pierwotną gorliwość i wiarę, pozbawiły je dawnéj czci i znaczenia w chrześciaństwie; ściągnęły na nie nienawiść narodów, obudziły obawę w Monarchach, ustalających naówczas swą władzę na gruzach feudalnego porządku, i z dawna zawistném okiem na ich skarby patrzących; pozbawiły nakoniec opieki Rzymu, i przywiodły je o ostateczny

upadek, w różnych miéjscach i czasach, różnemi sposobami dokonany: niesprawiedliwością i gwałtem we Francyi, zwycięskim orężem Jagiełłów w Prusach, i nakoniec przemocą turecką na Malcie.

Trzy były najsławniéjsze zakony rycerskie: zakon Templaryuszów, czyli rycerzy kościoła; zakon szpitalników, czyli rycerzy ś. Jana Jerozolimskiego, później kawalerów maltańskich, i nakoniec tak sławny w dziejach naszych zakon Krzyżaków, czyli rycerzy niemieckich: w następujących artykułach będziemy się starali udzielić czytelnikom naszym główniejsze historyczne rysy początku, wzrostu i upadku wszystkich tych trzech zakonów, zaczynając od Templaryuszów; jako tych, którzy drugim wzór dali. Gdyż chociaż zakon szpitalników Ś. Jana, istniał już w Jerozolimie przed zdobyciem jéj przez chrześcian, członkowie jego duchownym tylko i miłosiernym uczynkom oddani, we dwadzieścia dopiero lat po zawiązaniu się Templaryuszów, zapatrując się na ich przykład, wzięli się także do broni.

Pierwszymi założycielami zakonu Templaryuszów, byli: Hugo de Payens i Gofred Uldemar, towarzysze Goffreda de Bouillon, którzy z siedmiu innymi wnet po zdobyciu przez niego Jerozolimy, zobowiązali się nawzajem uroczystym ślubem, bronić świętego miasta i przybywających pielgrzymów od krzywd i napaści pogańskich. Gorliwość tych pobożnych rycerzy, wielu wkrótce naśladowców znalazła; liczba ich powiększała się coraz, tak, że w 19 lat po zdobyciu Jerozolimy, w roku 1118, król Balduin II. wydzielił im na mieszkanie obszerną budowę, przytykającą do kościoła (Templum), zkąd właśnie nazwisko Templaryuszów pochodzi.

W roku 1128 sobor w Troyes we Francyi, uznał i potwierdził ten zakon, przepisawszy mu pewne ustawy czyli regułę, a za ubiór białą suknią i płaszcz z czerwonym krzyżem na lewém ramieniu. Poczém zakon Templaryuszów, wsparty nabytą już chwałą wojenną i opieką papieżów, rozszerzył się szybko po wszystkich krajach chrześciaństwa, i z biegiem czasu nabył w nich znaczne posiadłości. Jeden z historyków niemieckich podaje, iż posiadali w samej Europie dziewięć tysięcy dóbr ziemnych.

Po Jerozolimie, Paryż w Europie, był główném siedliskiem Templaryuszów, gdzie dotąd daje się widzieć obszerny pałac, będący niegdyś mieszkaniem W. Mistrza.

Przez długie lata po założeniu swojém, zakon Templaryuszów kwitnął w całéj pełności znaczenia, bogactw i sławy. Obrona ziemi świętéj, główny cel ich stowarzyszenia, prowadzona przez nich była z nieporównaném poświęceniem się i męztwem. W całym ciągu owych nieustannych, wątpliwych walk między xiężycem a krzyżem, zapełniających dzieje XII. i XIII. wieku, Templaryusze walczyli zawsze w pierwszym rzędzie nieustraszonych obrońców chrześciaństwa, szukając sami swych wrogów, i zastawiając się im wszędzie, gdzie największe niebezpieczeństwo groziło. Jerozolima, Cypr, Ptolomaïda, były kolejno teatrem ich czynów. „W prostéj odzieży i kurzem okryci,“ powiada o nich ś. Bernard, z jednéj z owych mów ognistych, które się tak skutecznie do przedsięwzięcia drugiéj krucyaty przyczyniły, „stawią przeciw nieprzyjaciołom słońcem ogorzałe twarze, nieustraszone czoła i piersi. Przed bitwą dusze swoje uzbrajają wiarą, a ciała swoje żelazem. Oręż jest im tylko ozdobą; używają go mężnie, nie bojąc się niebezpieczeństw i nieprzyjaciół nie licząc; lecz ufność ich w Bogu spoczywa. Walcząc za jego sprawę, pewni są lub zwycięztwa, lub świętéj i chwalebnéj śmierci. O szczęśliwy rodzaj życia! w którym śmierć czeka się bez trwogi, pożąda się z radością, ponosi się z pewnością zbawienia!“ Ten sam duch religijny i wojenny nieprzestał ożywiać zakonu Templaryuszów, dopóki w obronie ziemi Świętéj z niewiernymi walczyli. Pomimo nabytych bogactw i potęgi, nie przestawali pamiętać, iż byli rycerzami wiary, ani usiłowali nigdy wyłamywać się z trudnych nieraz obowiązków obranego powołania i stanu.

Wprawdzie, gdy stolica zakonu do Europy przeniesioną została, obyczaje Templaryuszów rozsypanych po różnych krajach, opływających w dostatki, i nieczynne życie pędzących, wielkiéj uległy odmianie. *) Lecz jakiekolwiek mogły być błędy i występki szczególnych braci, winę tego nie całemu w ogóle zakonowi, ani ustawom jego, lecz raczéj zaniedbaniu tychże ustaw, przypisać należy. Bo, co się tyczy późniéjszych oskarżeń o bezbożność, świętokradztwo, i inne okropne zbrodnie, całemu w ogóle zakonowi w celu zniszczenia go zadawane, te żadnemi prawnemi dowodami poparte nie są i nie były. Lecz zakon Templaryuszów, jak tyle innych instytucyi politycznych, przy końcu XIII. wieku, przeżył już był przeznaczenie swoje; a pogrążony w roskoszach i zbytkach, pomimo gorliwych usiłowań i częstych napominań cnotliwszych naczelników i braci, straciwszy dwie najsilniéjsze każdego, jak narodu tak zgromadzenia, podpory, własną cnotę i opinią publiczną, oczekiwać zdawał się pierwszego możnego prześladowcy, coby skarbami jego skuszony, uczynił go swoją ofiarą.

Znalazł go w osobie Filippa IV., zwanego Pięknym, króla Francuzkiego. Monarcha ten, wstąpiwszy na tron po ojcu w roku 1285, lubo zaledwo 17 lat życia liczył, obdarzony z natury mocnym, niezgiętym, lecz przytém srogim i dumnym umysłem, w pierwszych zaraz dniach panowania dał uczuć narodowi, że żadnych w niczém określeń władzy swojéj nie ścierpi. Wojny, które prowadził, chociaż po większéj części pomyślne, ogołociły skarb jego. Używszy wszel-

*) Duma, rozwiązłość i zbytek zajęły miéjsce dawnych cnót, na które ślubować musieli: pokory, skromności i zakonnego ubóstwa.

kich godziwych i niegodziwych sposobów, aby go napełnić na nowo; obciążywszy lud niezwyczajnemi podatkami; sfałszowawszy razy kilka monetę; gdy się to wszystko jeszcze niedostatecznem okazało, zwrócił nakoniec oczy na niezmierne bogactwa i posiadłości Templaryuszów we Francyi, i postanowił obalić ich zakon, by sobie mienie jego przywłaszczyć.

Pomocnikami jego, w tém przedsięwzięciu byli dwaj ministrowie jego Engerard Marigni i Wiliam Nogaret, ludzie z duszą i ciałem oddani królowi, podobnegoż z nim charakteru. Lecz najważniejszym sprzymierzeńcem Filipa był sam ówczesny Papież, Klemens V., świeżo z Arcybiskupstwa w Bordeaux, na stolicę Papieską podniesiony. Wpływ Filipa IV. był mu do tego największą pomocą. Lecz, oprócz zwyczajnéj wdzięczności, która nowo-obranego Papieża powolnym na żądanie swego dobroczyńcy czyniła, są świadectwa historyków, iż ten przed obraniem jeszcze swojém, obowiązał się przysięgą Filipowi, że się do obalenia zakonu Templaryuszów przyczyni. Jakoż, zaraz po obraniu, przenosząc samowolnie stolicę Papieską z Rzymu do Awinionu, do państw króla Francuzkiego, dał mu w oczach całego chrześciaństwa dowód niezwykłéj uległości, jakiéj dotąd żaden z Papieżów nie okazał żadnemu z monarchów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

(Dalszy ciąg.)

Uwagi nad kołtunem.

Okazawszy płonność twierdzenia, jakoby kołtun był chorobą zaraźliwą przez Tatarów do Polski wniesioną, autor napomyka istotną jéj przyczynę w stósunkach tellurycznych i atmosferycznych, wywierających wpływ znaczny na organizm ciał naszych i zwierzęcych. Prawda, że nam tych stosunków nie wyjaśnia, boć prawie rzecz niepodobna wykazać, w czém się ziemia nasza i powietrze, od ziemi i powietrza innych krajów różni, i jakie to są właściwie cząstki, działające tak szkodliwie na organizm ciała naszego; co sam autor późniéj przyznaje, mówiąc: „Nie znamy ani sposobu działania, ani rozmaitych modyfikacyi owych stósunków, pod któremi ciało nasze we względzie na klimat i telluryczne wpływy zostaje. A nawet cała nasza geognostycznych własności znajomość pod względem lekarskim, dopiero rozpoczęta.“ Poczém tłumaczy dowcipnie a razem gruntownie obchodzone przez pogan postrzyżyny:

„Znając z kilkoletniéj obserwacyi, w jakiém połączeniu zwijanie się włosów z rozmaitemi chorobami zostaje, nie dostrzegłszy żadnych w żadnym przypadku warunków, pod któremiby się ta affekcya miéjscowa z jednego na drugie indywiduum przenieść dała, nigdy pojąć nie mogłem, jakim sposobem przed sześciu wiekami w sposobie contagium miała nam być udzieloną choroba, która, jak inne zaraźliwe, nigdy się w kształcie epidemii nie okazywała, i nigdy z pewnych granic nie wystąpiła. Widząc dzisiaj tę chorobę ograniczoną tylko na pewną część wschodniéj Europy, szukajmy jéj przyczyny we wpływie, jaki stósunki telluryczne i atmosferyczne onéjże, na organizm ciał naszych, a nawet i zwierzęcych wywierają. Ten wpływ jest starszym, niż wzmiankowane w 13stym wieku wpadnienie Tatarów. Znajdujemy nawet w historyi wzmiankę o religijnym obrządku mieszkańców Polski, przed wprowadzeniem do niéj wiary chrześciańskiéj, który się bardzo da pogodzić ze zjawieniami, jakie dziś z przedwczesnego ucinania kołtunów spostrzegamy. Zwyczaj ten znany pod nazwiskiem postrzyżyn, jest następujący: do siódmego roku życia, dzieciom nie wolno było włosów obcinać: dopiero z zakończeniem tego wieku, gatunkiem religijnego obrzędu, obcinanie ich następowało, połączone z nadawaniem imienia. Wiemy z historyi różnych narodów, iż takie religijne obrzędy, miały bardzo często swe źródło w jakim mądrym przepisie, zastósowanym do utrzymania zdrowia ludów, któremu roztropność prawodawców, oparta na długich lat doświadczeniu, dla tym większéj wagi, cechę świętości nadała. Wszakże oczywisty tego dowód, potwierdzający myśl naszę o postrzyżynach w narodzie polskim, przed zaprowadzeniem chrześciaństwa, mamy w zaprowadzeniu obrzezania u żydów. Najczęściéj się bowiem między dziećmi, zwłaszcza chorobą skrofulityczną dotkniętych, wydarza, że im się włosy zwijają. Zasłania ich to niejako od gwałtownego zapalenia oczu, płynienia uszu, wyrzutów po ciele, które bez kołtunów daleko częściéj natrafiamy, a które za ucięciem onychże, gwałtowny i nader szkodliwy przybierają charakter. Wiadomo wszystkim, iż po pewnym lat przeciągu, dzieci z choroby skrofulicznéj zupełnie wyrastają. W tymże właśnie czasie i ostrość, w zwijaniu się włosów objawiająca, przestaje tą się drogą determinować: włosy od korzeni wyrastają czysto, najmniejszéj już skłonności do zwijania nieokazują, i bez uszkodzenia zdrowia dziecka, uciętemi być mogą. Czas ten prawodawcy pierwsi naszego narodu, w lat siedm po urodzeniu, zdaje się naznaczyli.“

Następuje krytyczne wyjaśnienie istotnéj natury kołtuna; a najprzód uważając go odrębnie, jako cierpienie włosów. „Organa, które kołtun zajmuje, należą do systematu nadskorkowego (paznogcie) i systematu włosowego, które to obadwa jednę i tę samę mają podstawę, to jest sekrecyą materyi rogowéj. We włosach i paznogciach napotykamy istotne odmiany. Materya, która przez właściwą sekrecyą w korzeniach włosów i paznogci, odosobniana w stanie zdrowym, do wyrobienia przezroczystéj tkanki rogowéj służy, nabiera w stanie choroby nieznanéj nam jeszcze dostatecznie własności, będącéj po-

wodem i dziwnego włosów powikłania i osobliwego zgrubienia paznogci.“ Uchyla potém opinią, w ostatnich czasach często powtarzaną, jakoby kołtun nie był istotném cierpieniem, ale raczéj nieuchronnym skutkiem niechlujstwa i niedbalstwa; przyjmuje jednak niezbyt rzadkie bardzo przypadki, oznaczone nazwiskiem **fałszywego kołtuna**, które lubo z powierzchowności za istotny kołtun poczytanemi byćby mogły, przecież od niego zupełnie są różne; tak zaś oba charakteryzuje: „w fałszywych, włosy łatwo rozprowadzić się dadzą: w prawdziwych zaś najusilniéjsza praca nie jest w stanie zawikłane kłęby w pojedyńcze włosy rozłożyć. Prócz tego, w prawdziwym kołtunie, włosy naturalną sprężystość tracą, zdają się być pozbawione naturalnego połysku, przybierają postać martwą, i są, pomimo lipkiéj materyi, która ich tysiączne zakręty i powikłania zlepia, najczęściéj suche na dotknięcie. Tylko przy samych korzeniach, póki jeszcze sekrecya materyi rogowéj ma miéjsce, a zatém blisko saméj skóry, wilgoć ta w płynnym swym stanie pokazuje się: to jest forma, pod którą się w dniach dzisiéjszych prawdziwy kołtun objawia.“ Drugiém stadium kołtuna, nazywa autor kołtun zupełnie odrośnięty, kiedy sekrecya chorobliwa materyi rogowéj zupełnie ustanie, włosy od korzeni czysto i naturalnie odrastają, i mogą, skoro do kilku cali to odrośnienie dojdzie, bez wszelkiego szwanku zdrowia być odciętemi.

(Koniec nastąpi.)

Piosnki gminne.

Jaś i Marysia.

Zielony lasczek,
Zielono rąbany,
Komuż mnie zostawisz,
Jasiu mój kochany.
Zostawię ja ciebie
Temu, co jest w niebie.
Za roczek, za drugi,
Powrócę do ciebie.
A jak nie powrócę,
Listy będę pisał.
Ty będziesz płakała,
Ja nie będę słyszał.
Lądem, lądem Jasiu,
Ja za tobą Wisłą,
Powiadają ludzie,
Że ty kochasz inszą.
Bodaj mnie Bóg skarał,
Ten, co mieszka w niebie,
Jeśli kocham inszą,
Jak Marysiu ciebie.

Siwy gołąbeczek w środku dębu siedział,
Dałabym ci buzi, ąlebyś powiedział;
A jakbyś powiedział, jabym się wstydziła,
Żeś mnie pocałował, jam się nie broniła.

Parobeczku, krzywo orzesz;
Poprawże się, jeśli możesz;
Poprawże się na wygance,
Podobasz się sołtysiance.

Sielanka nadwiślańska.

Andante — ritard. — ritard. — a piacere

Śpiew — Gitara

On. 1. Leć głosie po ro-sie, Po niz-kiéj leszczy-nie: Idź, po-wiedz ode-mnie Dobrą noc dziewczy-nie, Dobrą noc dziew-czy-nie!

On. 2. Dobra nocka, dobra.
Moja najmiléjsza,
Pono już do ciebie
2 razy: Dróżka ostatniéjsza.

Ona. 3. Ach nie ostatniéjsza!
Brońże tego Panie!
Kto się w kim pokochał,
Ma ciężkie rozstanie.

4. Rozstańże się, rozstań,
Kalino z jaworem,
Jak ja się rozstaję
Z kochaneczkiem moim.

5. Kalina z Jaworem
Rozstać się niemoże,
Tak i ja z kochankiem,
Brońże tego Boże!

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)